

# Sto procent dumy bez upadania na deski

**- Teatr jest na powierzchni życia. Ma mieć kontakt z życiem, ale równocześnie ma za zadanie drażnić je tak głęboko, jak się tylko da**  
**- mówi Krzysztof Jasiński w jubileusz Sceny STU.**

ROZMOWA Z  
**KRZYSZTOFEM JASIŃSKIM**  
odechodzącym dyrektorem  
Teatru Scena STU

**GABRIELA CAGIEL:** Jest w STU coś z duszy wędrowniej. Z pierwszym tryptykiem „Spadanie”, „Sennik polski” i „Exodus” wędrowaliście po świecie, teraz podróżujecie z „Wędrowaniem” po Polsce.

**KRZYSZTOF JASIŃSKI:** Gdy 10 lat temu świętowaliśmy 40. rocznicę teatru, wybraliśmy się z Jerzym Trelą, który właśnie powrócił do matecznika i miał premierę monodramu „Rozmowy z diabłem. Wielkie kazanie księdza Bernarda”, na obiad do Jana Barana. Pamiętam doskonale naszą rozmowę, gdy zastanawialiśmy się, czy skoro udało się wytrwać do 40-lecia, to może uda się i do pięćdziesiątki. A skoro jeszcze 10 lat, to trzeba coś wymyślić. Wtedy postanowiłem, że będzie to teatr bardzo zaangażowany w polskość, w sprawy polskie i polskie przemiany. Od strony ideowej to powrót do tego pierwszego tryptyku. „Spadanie”, „Sennik polski” i „Exodus” nazwałem tryptykiem otwarcia, a „Wędrowanie: Wesele, Wyzwolenie, Akropolis” tryptykiem zamknięcia. Chodziło też o to, żeby wrócić do naszych doświadczeń, czyli do podróży.

**Jakiś czas temu rozmawialiśmy o premierze niecodziennego tryptyku, „Wędrowania” na podstawie trzech sztuk Stanisława Wyspiańskiego. Ustaliliśmy wtedy, że dzieło traktuje o wolności. A „Rewizor” według Gogola, najnowszy spektakl STU?**

- Jest o czym innym. Gdy ten temat się pojawił, nie było jakiejś chłodnej kalkulacji. W „Rewizorze” chcieliśmy się zmierzyć z tym, co jest w nim dotkliwie i co stanowi jakąś naszą bolączkę. Chodzi o korupcję. O to głęboko zdemoralizowane społeczeństwo, które nie może się od niej uwolnić. Gogol bardzo tu pasuje, ponieważ ta influenza korupcyjna jest wiatrem ze Wschodu. Skoro przesunęliśmy się na Zachód, to trzeba się z nim wreszcie uporać. Jednak okoliczności się zmieniły, a próby przedstawienia z dnia na dzień stawały się coraz bardziej bolesne i aktualne. Intuicja nas nie zawiodła.

**Teatr ma to do siebie, że często wyczuwa zmieniający się puls rzeczywistości, zanim coś się wydarzy.**

- To powinno być prawidłowością. Teatr jest na powierzchni życia, żeby mieć kontakt z życiem, ale równocześnie ma za zadanie drażnić tak głęboko, jak się tylko da. Jeśli się spojrzysz na Scenę STU w ciągu ostatnich 50 lat, to wszystkie ważne rzeczy robiliśmy w momentach również ważnych historycznie. Począwszy od 1968 roku. Nie robiliśmy tego nieświadomie. Mieliśmy - i wygląda na to, że wciąż mamy - świadomość tego, co powinno być grane, wciąż odnajdujemy i wyczuwamy ten puls.



„Spadanie”

**Rodzą się dzieci, obcinamy włosy, przestajemy być hipisami, zaczynamy z większą odpowiedzialnością myśleć o życiu i z większym strachem.**

**O to chodzi, żeby to, co jest egzystencjonalnym kapcaniem, nie przenosiło się do sztuki**

**Przypomnijmy te ważne dla teatru wydarzenia.**

- Jest 8 marca 1968 r. Jerzy Trela i Jerzy Stuhur w Jaszczurach. Danuta Maksymowicz - późniejsza żona Jarockiego, Lucyna Demarczyk, Jan Polewka odpowiedzialny za scenografię, Romek Kowal za muzykę. Na przedstawieniu obecny też Tomek Stańko. Wystawiamy spektakl „Kobieta-demon” Leopolda von Sacher-Masocha. Wydawałoby się, że to coś absolutnie oderwanego od rzeczywistości. To miał być taki wyglup kabaretowy, świetnie napisany artystowski bunt. Okazuje się, że nagle, ciśnienie tego dnia było tak wielkie, że przy zmianie kilku wyrazów stało się przedstawieniem o tym, co jest dzisiaj. To była bardzo ważna lekcja. Pierwsza lekcja tego, że teatr musi być na powierzchni.

Za dwa lata rok 1970, a my wygramy festiwal w Łodzi „Spadaniem” na motywach poematu Tadeusza Różewicza dokładnie w tym momencie, gdy Gomułka oddaje władzę Gierkowi. Wieczorem przy ogłaszaniu werdyktu oglądamy w telewizji zmianę władz. 1980 rok to dziesięciolecie „Spadania”, a my robimy „Donkichoterię” wg scenariusza Edwarda Chudzińskiego, gorzki spektakl o naszej kondycji i konieczności zmian. Znowu następuje zmiana. Mamy 1981



„Szalona lokomotywa”

rok. Dokładnie w pamiętnych dniach sierpniowych gramy na Wybrzeżu „Pacjentów” i „Szaloną lokomotywę”. Szybko przygotowuję kolejne przedstawienie. W dniu, w którym Jaruzelski został pierwszym sekretarzem, robimy premierę „Ubu króla” o przewrocie wojskowym. I tak to się ciągnie.

**Jak zmienił się przez te lata widz?**

- Ewolucja to sprawa zupełnie naturalna. Żyjemy we wspaniałych czasach dla Polski. Ten najwspanialszy okres w historii Polski w odniesieniu do wolności jest udziałem mojego pokolenia. I to jest cud. Gdyby myśleć o tej widowni przez 50 lat, to najpierw byliśmy teatrem generacyjnym. Później rodzą się dzieci, sami się zmieniamy, obcinamy włosy, przestajemy być hipisami, zaczynamy z większą odpowiedzialnością myśleć o życiu i z większym strachem. O to chodzi, żeby to, co jest egzystencjonalnym kapcaniem, nie przenosiło się do sztuki.

**Jak uniknąć tego gnuśnienia?**

- Trzeba wiedzieć, że się rozmawia z widzami, a oni się zmieniają. Jak łapać ten nieustanny kontakt? Są tylko dwa sposoby na to w teatrze, który gra codziennie. Należy właściwie ustawiać repertuar. Publiczność przychodzi dlatego, że coś sobie wyobraża, coś sobie obiecuje. Albo po-

przez tytuł, albo poprzez markę, która niesie zaufanie. Gdy mamy zaufanie, widzowie przyjdą zobaczyć nawet nieznanego wcześniej tytułu. A druga sprawa to troska o widzów. Co kilka lat tworzymy spektakl dla najmłodszych widzów. Przy okazji jubileuszu specjalnie to podkreślamy, wprowadzając do repertuaru „Małego Księcia”. Chcemy zaprosić tych najmłodszych, żeby to u nas, w naszym teatrze doznali olśnienia teatrem. To jest coś zupełnie niesamowitego, zwłaszcza w takich warunkach, jakie my mamy, i przy scenie, która zapewnia bliskość kontaktu. Ten mały dzieciak, który ma teraz 10 lat, zapamięta ten moment i przyprowadzi do tego teatru swoje dzieci. Zapamięta to olśnienie.

**Były takie momenty, gdy miał pan dość? Myślał, że to wszystko rzuci?**

- Kilka razy.

**Co wtedy pomagało się podnieść?**

- Stan wojenny zastał mnie w Warszawie, gdzie mieszkałem z dziećmi i Marylą. Myślałem, że to koniec, że do Krakowa już nie wrócę, a już na pewno nie do Teatru STU. Byłem przekonany, że to wszystko się zawaliło. Ale wystarczyły dwa miesiące, żebym wrócił. Dzięki wiadomości, która do mnie dotarła. Członków Rodziny Teatru STU obowiązują dwie

daty. Jedna to nasza wigilia, która zawsze odbywa się 20 grudnia o godz. 20, a druga to 20 lutego o godz. 20 nasze Stulecie. Było mi strasznie głupio, gdy dowiedziałem się, że zespół przyszedł 20 grudnia. Siedzieli nocą, a mnie nie było. Uderzyło mnie to do tego stopnia, że na lutowy jubileusz już dotarłem. Zdecydowałem, że zaczynamy od zera. Tak jakbyśmy od nowa budowali teatr. Mądrzejsi, bardziej doświadczeni, a może nawet doświadczeni boleśnie. Wróciliśmy do teatru elementarnego, opartego na autorze. Norwid, Mrożek i Witkacy, który jest grany do dziś. To był chyba najważniejszy dla nas moment.

Drugim takim wydarzeniem okazała się transformacja ustrojowa. Przestaliśmy być teatrem państwowym i staliśmy się teatrem prywatnym. Próbowaliśmy się odnaleźć, ale już nie starczało na czynsz. Myślałem, że to już koniec. Wtedy ówczesny wojewoda, Jacek Majchrowski, który też wychowywał się na Teatrze STU, powiedział, że to niemożliwe, że trzeba znaleźć rozwiązanie. Udało się. To były te dwa momenty zwrotne.

**Nie wolno się załamywać w momentach krytycznych?**

- Załamywanie się jest ludzką sprawą. Czasami ciężar jest tak wielki, że przygniata do ziemi. Nie wolno dać mu się przygniść.

**Przed naszą rozmową wspomniał pan, że głowi się, jak pomieścić na jubileuszu tysiąc gości, którzy wchodzi w skład Rodziny Sceny STU. Do ich grona zaliczają się przecież wybitne postaci polskiej sceny - Krzysztof Globisz, Daniel Olbrychski, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Anna Tomaszewska, Zbigniew Wodecki, wspomniany Jerzy Trela...**

- Po prostu wychowaliśmy parę generacji. Jerzy Trela, Jerzy Stuhur tutaj zaczynali. Podobnie Jan Polewka, wieloletni dyrektor teatrów i znakomity scenograf, Włodzimierz Staniewski, założyciel Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice”, Jerzy Zoń, Adolf Weltschek, Jerzy Fedorowicz...

**Te kontakty da się utrzymać? Istnieje bliska więź?**

- Bywa różnie. Gdy piskłeta wfruwa z matecznika, to cały świat stoi przed nimi otworem. Po latach okazuje się jednak, że matecznik odcisnął piętno, że jest ważny. Nie byłoby też powrotu do matecznika, gdyby matecznik nie trzymał poziomu, gdyby nie można było się pochwalić, że się z niego wywodzi. To już jest marka. Jestem spokojny. Te pięćdziesiąt lat zamykam z numerem jakości. A jakość teatru jest najważniejsza.

**Rozstaje się pan z teatrem?**

- Jako dyrektor i manager. Nie jako reżyser, bo nim zamierzam być do samego końca. Teraz może będę mógł reżyserować też w innych teatrach, bo do tej pory tego odmawiałem.

**Odczuwa pan dumę z tego, co udało się stworzyć?**

- Dumę i radość. Jestem szczęśliwy, że tutaj dotarłem i że mogę zejść w pełni sił z ringu, a nie jestem z niego znoszony. Bo to też ważne, żeby umieć to zrobić. No i jest teatr. Jest w Krakowie budynek, miejsce, do którego się przychodzi i będzie się przychodziło przez kolejne lata. Dlatego nazwałem to miejsce Sceną STU, a nie Teatrem STU. Jeżeli coś po mnie zostanie, to właśnie to miejsce. ●

ROZMAWIAŁA GABRIELA CAGIEL